Nr. 33. Warszawa, dnia 2 (14) Sierpnia 1872 roku. ROK VIII.

Seryja trzecia.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi, przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

W SPRAWIE OŚWIATY.

Postrzeganie, doświadczanie i rozumowanie, oto są narzędzia, przy pomocy których genijusz ludzki zdobył, zgromadził i uporządkował prawdy, będące podstawą dzisiejszej cywilizacyi. Poznanie dokładne nowych zjawisk i ich stosunków bądź między sobą, bądź ze znanemi dawniej, stanowi przedmiot obserwacyi i doświadczenia; wykrycie w zmiennych szczegółach własności i praw ogólnych i niezmiennych, zbadanie ich koniecznych związków a wreszcie na podstawie owych związków, sądzenie z tego co znamy, o tem czego nie znamy, z tego co jest, o tem co być może lub musi, stanowi przedmiot rozumowań.

Prawa ogólne, o których wspomnieliśmy przed chwilą, znajdują się w takim stosunku do zjawisk wszechświata, jak głoski alfabetu do całego obszaru mowy ludzkiej. Głosek jest niewiele, zaledwie kilkadziesiąt, któż jednak policzy wszystkie wyrazy i zdania, jakie napisano i wypowiedziano po dziś dzień. Podobnież i zjawisk we wszechświecie jest nieskończone mnóstwo, lecz praw zasadniczych niewiele, i gdybyśmy wszystkie owe prawa znali dokładnie, gdybyśmy znali najogólniejsze sposoby ich kombinowania się,—umielibyśmy układać symbole wszystkich zjawisk z taką nieomal łatwością, z jaką umiejący pisać układają symbole swoich myśli. Czy nauka dojdzie kiedyś do tej doskonałości?—nie wiemy. Po dziś dzień obserwacyja i doświadczenie panują wyłącznie w sferze ogromnéj większości nauk, a i dla tych, które mniej lub więcej oparły się na rozumowaniu,—doświadczenie stanowi trybunał najwyższy i niejednokrotnie już zdarzało się, że najpiękniejsze teoryje upadały w obec faktów na pozór niewiele znaczących.

Istnieje przecież pewna liczba najogólniejszych własności zjawisk, dostępnych najbardziéj powierzchownej obserwacyi, które z tego powodu, umysł najwcześniej i najdokładniej poznał i z łatwością na zasadnicze prawa rozłożył. Postępując zaś drogą odwrotną, przez samo kombinowanie tych praw i własności, utworzył i nieustannie tworzy massę pojęć, którym, przy pewnych warunkach odpowiadają pewne własności zjawisk we wszechświecie istniejących. Owemi najogólniejszemi własnościami są te, które odpowiadają pojęciom: ilości, wielkości, kształtu, położenia i ruchu; zasadnicze prawa tych własności mieszczą się w tak zwanych matematycznych pewnikach—wykład zaś sposobów według których należy kombinować własności i prawa najprostsze, dla tego, aby odkryć prawa i własności bardziej złożone, stanowi matematykę.

Nie miejsce tu obszerniej rozwodzić się nad tym jednym z najpiękniejszych utworów, jednem z najpotężniejszych narzędzi rozumu. Powiedzieliśmy już co stanowi przedmiot matematyki; dodamy więc tylko, że nauka ta ma swój odrębny, cechujący się prostotą i dokładnością język i że celem jej jest: wynaleść za pomocą dostatecznej liczby pojęć znanych, inne nieznane pojęcia, które z poprzedniemi w koniecznym pozostają związku.

Jak dzielną pomoc daje matematyka przy rozstrzyganiu pytań w zakresie jej leżących, postaramy się za pomocą kilku przykładów okazać.

Przypuśćmy, ze komuś nie mającemu pojęcia o rachunkach zadano następujące pytanie: Jeżeli jeden człowiek zużywa dziennie 3 funty pokarmów, to 1,000,000 ludzi, po upływie lat 100 jaką ilość pokarmów zużyją? Pytanie to widocznie leży za obrębem osobistego doświadczenia, któż by bowiem mógł obserwować milion ludzi przez lat sto, w jaki zresztą sposób, nie znając liczb, zapamiętałby stopniowo zwiększające się ilości zjedzonych pokarmów? Bez przesady więc powiedzieć można, że przykład ten dla zapytanego wydawałby się kwestyją na którą zaledwie Najwyższy Rozum odpowiedzieć jest zdolnym, podczas gdy tę samą kwestyję za pomocą sposobów przez matematykę podanych, dziesięcioletnie dziecko w ciągu kilku minut z łatwością rozstrzygnąć potrafi.

Otóż ilekolwiek razy matematyka zastępuje lub wspomaga doświadczenie bezpośrednie, tyle prawie razy skraca robotę w stosunku niedającym się nawet obliczyć, a nadto w ogromnej liczbie wypadków stanowi jedyne narzędzie, które nie tylko że dostarcza rezultatów nie dających się osiągnąć na innej drodze, ale jeszcze nadaje owym rezultatom cechę nieporównanej pewności i dokładności. Przy pomocy np. matematyki inżynier nie przechodząc na drugą stronę rzeki może wymierzyć jej szerokość, oznaczyć wielkość i ciężar mostu który ma połączyć jéj brzegi, jakoteż obmyśleć najkorzystniejszą formę

ŚLADY ŻYCIA.

XX.

Tyle życia, ile.... w c z y n i e.

Z powodu naszéj krótkiéj wzmianki o poemaciku p. *Sowińskiego* p. n. „*Graf Jarosz*”, kronikarz „Wieńca“ prosi nas o małe objaśnienie, dla czego wytykając niemoralność i jaskrawość tego utworu, pomieściliśmy „*Żonę Putyfara*”? Istotnie objaśnienie jest konieczne, gdyż w przytoczonym przez kronikarza urywku myśl tego ostatniego wiersza nie przedstawia się w całéj pełni. Sąd nasz o Grafie Jaroszu i zamieszczenie wiersza p. Ujejskiego nie zostają z sobą w żadnéj kollizyi. Nie jesteśmy zwolennikami seraficznéj pruderyi, którąby nam przysłaniała oczy na widok objawów wychodzących po za granicę powijaków konwenansowych. Nie uważamy daléj naszego społeczeństwa za tak nerwowo-rozdrażnione, żeby silniejsze barwy miały na nie wpływać zabijająco lub szkodliwie; ani téż za tak wyrafinowanie zepsute, żeby się miało gorszyć wypowiedzeniem tego głośno, co się robi po cichu. Nie! takie myśli są od nas dalekie. Organizm zdrowy przyjmuje i na pożytek swój obraca wszelkie pokarmy pożywne, byle tylko nie zafałszowane szkodliwemi ingredyjencyjami. Jest jednakże wielka różnica między traktowaniem rzeczy tak zwanych drastycznych w celu uwydatnienia pewnych ujemnych stron ludzkiéj natury, dla zestawienia ich z dodatniemi; dla wywołania za pomocą kontrastu tym silniejszego wrażenia — a pomiędzy malowaniem scen podobnych z wyłącznością lubującą się w scenach drażliwych dla tego że są drażliwemi; albo dla tego że one napotykają się w życiu osamotnione, bez przeciwstawienia, bez natychmiastowego wykazania ich moralnéj nicości. Zapewne P. kronikarz nie posądzi nas o duchowe łakomstwo, które wymagałoby koniecznie wetów złożonych z wyszarzałych sentencyj, z ukarania zbrodni a nagrodzenia cnoty;—takiego finału nie żądamy od żadnego poety, ani powieściopisarza; gdyż on maluje życie we wszystkich jego szczegółach, nie zaś pisze traktat o przyzwoitości lub komunałach moralnych. W życiu nagroda omija częstokroć cnotę a zbrodnia spokojnie depce złotemi sandałami głowy i serca ludzkie; sztuka więc będąca życia wyrazem, nie może go w żaden sposób przeinaczać i wykoszlawiać; nie powinna jednakże niewolniczo pełzać przed obliczem jego potęgi. Sztuka nie jest małpiém naśladowaniem ale rozumném odtwarzaniem życia. Przed duszą czytelnika stawia nie same jasne, ani téż same ciemne obrazy, ale je splata w harmonijną całość. Jeżeli w *Żonie Putyfara* poeta przedstawił zmysłową, zwierzęcą namiętność, to jéj przeciwstawił wyższy, wzniosły charakter Józefa; który nie pozwala czytelnikowi przypuszczać ani na chwilę, że szlachetne popędy nie mają żadnego na ziemi przedstawiciela. Jeżeli więc kronikarz Wieńca pyta się, czy bohaterka wiersza p. Ujejskiego jest wielką i „czy namiętność, w *któréj* kreśleniu lubuje się również poeta, mniéj jest zwierzęcą i nic nie uidealizowaną;”—to mu odpowiemy, że nie Putyfara jest wielką, ale Józef; że nie zwierzęca namiętność Putyfary; ale stałość charakteru Józefa—jest ideałem poety. A to samo usprawiedliwia również i jaskrawe barwy, użyte przez p. U. do odmalowania gwałtownych uczuć, z tém jednak zastrzeżeniem, że nie

i wymiary mających go podtrzymywać arkad. Przy jej pomocy astronomowie wymierzyli odległości ciał niebieskich od słońca i ziemi, i wyrachowali nawet wielkości i ciężary niektórych, przy jej pomocy fizyka odkryła zdumiewający fakt, że w pewnych okolicznościach dwa promienie światła mogą się wzajemnie zaciemnić i t. d. i t. d. Nie wydadząż się nam cudownemi te rezultaty, którym podobnych niezmierne mnóstwo we wszystkich gałęziach stosowanej matematyki istnieje? Pomyślmy teraz, że naraz znikają wszystkie owe rezultaty z astronomii, inżynieryi, fizyki, nauk społecznych i życia codziennego,—a w co się obróci cały gmach dzisiejszej cywilizacyi?...

Jakkolwiek, już choćby potem cośmy nadmienili, trudno nieuznać ogromnego znaczenia matematyki dla dobrobytu i oświaty społecznej, nie idzie jednak zatem, aby ją koniecznie mieli umieć wszyscy bez wyjątku ludzie w całej jej obszerności. Każde stanowisko, każdy rodzaj pracy, ma odpowiednie sobie gałęzie i części matematyki, bez znajomości których człowiek w pewnych razach błądzi po omacku i naraża się na przykre częstokroć niespodzianki. Już np. służąca, którą wysyłamy na rynek potrzebuje znać najprostsze arytmetyczne działania, buhalter nie obejdzie się bez ułamków i proporcyi, cieśla bez arytmetyki i geometryi, inżynier bez mechaniki, algebry i t. d. O prawdzie tej dawno wiedzą na zachodzie, to też uprawiają tam i upowszechniają matematykę, która dla ogółu naszego wydaje się nudną i niezrozumiałą nauką.

Doprawdy, przykro nieraz pomyśleć do jak wysokiego stopnia doszło u nas niedbalstwo pod tym względem! Komuż bowiem nie zdarzyło się napotkać rachmistrzów, dla których ułamki są twardym do zgryzienia orzechem, mechaników nie mających pojęcia o mechanice, mierników, którzy o trygonometryi nie słyszeli? Mimo to idzie nam jakoś —za panią matką pacierz, ale gdzie samodzielność?..

„Od początku XV wieku (mówi Wiszniewski) do połowy XVI, Akademia krakowska była głównem w Europie nauk matematycznych siedliskiem." To też nie dziw, że w owej epoce mieliśmy Kopernika. Dziś na początek, dośćby nam było kilku Śniadeckich i kto wie, czybyśmy nie znaleźli gotowych na to materyjałów, lecz na nieszczęście nie szukamy ich, bo kwestyje tego rodzaju nie wiele nas obchodzą.

Młodzież nasza chętnie poświęca się matematyce i wcale nie jest bez zdolności. Nie sięgając daleko dość przypomnieć sobie wychowańców b. Szkoły Głównej i spojrzeć na Uniwersytet dzisiejszy. I nie myślmy, żeby luminarze owi, o których nie trudno, dla tego tylko odznaczali się, że dokoła jest ciemno, bo przecież i zagranicą zwracają na siebie uwagę i co rok nieomal czytamy o chlubnych wzmiankach albo medalach przyznawanych polskiej młodzieży przez tamtejsze wyższe zakłady. Ale los i w tym wypadku nie jest łaskawym na nas. Owa młodzież pełna zapału, zdolności i nauki błyszczy chwilę tylko i budzi nadzieje dotąd, dokąd nie opuści ławy szkolnej. Potem jedni idą na gospodarzy, inni na guwernerów, szczęśliwsi na buhalterów, a najszczęśliwsi, prawdziwie godni zazdrości dostają się do fabryk, lub na linije dróg żelaznych; Ci przynajmniej nie żalą się na to, że czas stracili i nie zrywają z nauką, której nabycie tyle ich pracy kosztowało. Cóżkolwiekbądź wiele dzielnych sił ginie a jednak można by choć do pewnego stopnia strat tych uniknąć. Oto z jednej strony kończący wydział matematyczny, jeżeli nie mają funduszów na wyjazd do specyjalnego zakładu, niechby chwytali każdą posadę mającą bliższy związek z ich wiadomościami,—z drugiej zaś strony, niechby panowie fabrykanci, inżynierowie i budowniczowie chętniejszą podawali rękę tym, których napozór niepraktyczna umiejętność bardzo z czasem opłacić się może.

Z tego co powiedzieliśmy, wypada, że nie brak zdolności i chęci ze strony uczących się lecz brak dość obszernego pola do działań, albo też troska o chleb powszedni, sprawiają, że pomimo tak wielkiej liczby osób, które wydział matematyczny ukończyły, nie wielu mamy dziś w kraju samodzielnie pracujących i głośnych matematyków. Że zaś złe jedno pociąga za sobą zwykle cały szereg innych, więc też obok tej najgłówniejszej przyczyny zaniedbania nauk matematycznych stanęły i jej skutki, i szkodliwy dla oświaty brak ludzi spotęgował się brakiem odpowiedniej literatury.

Do czasu otworzenia Szkoły Głównej, w całem Królestwie może kilkadziesiąt osób zajmowało się wyższą matematyką, a i to więcej chyba z amatorstwa niż z potrzeby. To też w księgarniach znajdowaliśmy tylko elementarne dziełka, a gdzieś na półkach antykwaryjuszów spoczywały przestarzałe prace Śniadeckiego, Polińskiego, Krzyżanowskiego, Sapalskiego i kilku innych autorów, których nikt zresztą nie czytał. Po otworzeniu Szkoły Głównej znaleźli się matematycy, pojawiły się kursa po większej części pisane i kilka litografowanych, lecz w druku, jeżeli dobrze pamiętamy, tylko pp. Zajączkowski, Babczyński i Baraniecki ślady swojej pozostawili działalności. Dziwić się temu nie można ponieważ była to chwila, w której wydawnictwo dzieł tego rodzaju nie przedstawiało interesu; raczej należy być przekonanym, że po dziś dzień nie obudziłby się ruch w tym kierunku, gdyby nie wypadek stanowiący, jak na czasy obecne, epokę w dziejach naszej literatury. Oto na dzieła matematyczne znalazł się bezinteresowny nakładca.

W roku 1866 ukazała się *Arytmetyka* p. G. H. Niewęgłowskiego, w trzy lata później *Geometryja Ogólna* (używamy nazwy przyznanej temu dziełu przez sumiennego krytyka), a w roku następnym *Trygonometryja* tego samego autora. W tym ostatnim (1870) roku wyszedł również *Rachunek różniczkowy* p. W. Folkierskiego, z przypiskiem *O Wyznacznikach* p. W. Trzaski. Jednocześnie zapowiedziano dalsze wydawnictwo dzieł z zakresu wyższej matematyki, wszystkie zaś te książki wyszły lub wyjść mają nakładem hr. Jana Działyńskiego, właściciela Biblioteki Kórnickiej.

Nie miejsce tu wdawać się w rozbiór wartości tych książek, dość jeżeli powiemy, że *Rachunek Różniczkowy* i *Geometryja Ogólna* są istotnie znakomitemi dziełami. Ważniejszą w obecnej chwili rzeczą będzie zwrócić uwagę na całość przedsięwzięcia i jego stosunek do oświaty krajowej.

Nakładca, któryby w widokach zysku zamierzył wydanie takiego szeregu dzieł jakie wyszły i wyjść mają kosztem Biblioteki Kórnickiej, niewątpliwie wielką ogółowi oddałby przysługę; cóż więc powiedzieć o takim nakładcy, który np. Geometryją obejmującą 778 stron druku średniego i małego, z wielką liczbą rysunków starannie wykonanych—sprzedaje za rs. 2 kop. 40, a Rachunek różniczkowy obejmujący stron 1130 podobnego

---

panują one *wyłącznie* na tle całości. Te właśnie uwagi spowodowały nas do zamieszczenia Żony Putyfara i do krytycznej wzmianki o „*Grafie Jaroszu.*" Nie powodowaliśmy się tu osobistością; ale poczuciem prawdy...

* * *

Statystyka tych, którzy przemarnowują swe życie na miłość nie jest nam znaną, i biorąc rzeczy ściśle nigdy dokładnie zebraną być nie może; zdawałoby się więc, że pod tym względem żadnych pewnych wniosków robić nie podobna, że sprawy tak delikatnej natury jak sprawy uczucia należałoby zostawić poetom i powieściopisarzom, tym uprzywilejowanym istotom, które na każde zawołanie fantazyi mogą stwarzać tysiące pięknych postaci, łączyć je i rozdzielać, podnosić do ideału lub spychać w błoto poniżenia lub pogardy... Tak też rzeczywiście było dotychczas; trzeba jednakże zrobić uwagę, że poeci i powieściopisarze nadużyli swobody rozporządzania losami wybranych przez siebie bohaterów i napełniając ich serca egoistycznem tylko po większej części uczuciem ku ziemskim niebiankom, uczynili ich niezdolnemi do samodzielnego czynu a każąc im mazgaić się po dniach i nocach całych, w razie zdjęcia im z oczu illuzyjnej tkanki błogiego zadowolenia duszy, rozlali po wszystkich okolicach kraju łez potoki a atmosferę zgęścili niezliczonemi westchnieniami rozpaczy. Społeczeństwo przejmując się tym świetnie odmalowanym obrazem urojonej częstokroć niedoli, podzieliło się na dwa obozy: jedni wzięli je na seryjo i chcieli urzeczywistnić w życiu, drudzy zaś rozumiejąc ich niemożliwość a nie życząc sobie śmiesznego przezwiska Don Kiszotów, widoki materyjalnego dobrobytu uznali zajedynie słuszne i godne zabiegów. Jakie stąd wynikały powikłania i jakie szkody poniosło dobro ogółu, w krótkich słowach wypowiedzieć niepodobna, gdyż jestto przedmiot zbyt wielkiej wagi, ażeby go zbywać ogólnikami. Zostawiając więc sobie na przyszłość rozwinięcie kilku myśli tu rzuconych, powinniśmy objaśnić czytelnika, co nam je nasunęło. Powieść p. Sienkiewicza, autora „*Humoresek z teki Worszyłły,*" o których była poprzednio wzmianka w Opiekunie, p. n. „*Na marne,*" (ukończona w *Wieńcu* Nr. 60) poruszająca właśnie jedno z zagadnień, o których mówiliśmy. Przedstawia on człowieka, którego porywy serca nie szły nigdy w parze z kombinacyjami rozumu i siłą wyrobionego charakteru. Pokochał *Helenę*, kobietę czy zbyt płochą czy zbyt tylko rozmarzoną, że po śmierci męża, którego kochała do szału, upatrzywszy w bohaterze powieści podobieństwo do zmarłego, rzuciła nań czar wszystkich powabów rozwiniętej niewiasty i zalała go lawą nieliczącego się z przeszkodami uczucia. Tymczasem los oddał w opiekę temuż bohaterowi (*Szwarcowi*) piękną i młodą dziewczynę (*Lulę*), która mu otworzyła nowe, niewyczerpane źródło uczucia. Paroletnia znajomość z Heleną w skutkach swoich skrępowała Szwarca zbyt silnemi węzłami, ażeby je uczciwy człowiek bez splamienia swego honoru, potargać się ośmielił; a tymczasem miłość ciągnęła w inną stronę. Szwarc miał dosyć siły, ażeby obowiązek spełnić w słowach, ale nie dosyć, żeby go w czyn zamienić. *Choroba* rozstrzygła sprawę. Helena dowiedziawszy z majaczeń Szwarca, że on jej nie kocha, że żeni się z nią jedynie przez skrupuł sumienia, nie mogła przenieść ciosu i... utopiła się. Dotąd autor jest konsekwentny; w dalszem przeprowadzeniu założenia powieści Szwarc powinienby okazać w rzeczywistości, że życie jego poszło *na marne*, że miłość zawiedziona zwichnęła całą jego przyszłość. Tymczasem Szwarc odchorowawszy swą słabość, zdał egzamina (był studentem medycyny)... i przestał kochać Lulę. Stąd zdanie końcowe, (Nadto nadto sił kładziemy w gonitwę za miłością kobiety; potem miłość gdzieś jak ptak odleci, a siły idą *na marne*), jakkolwiek bardzo słuszne a zastosowujące na szerokie rozpowszechnienie, nie jest przecież najprostszym wnioskiem, jaki z utworu p. S.

druku i podobnież z rysunkami, oddaje za rs. 3. Dodajmy, że papier jest elegancki, że korekta dzieł matematycznych niewątpliwie drożej się płaci, zestawmy wartość wewnętrzną i cenę będącego w mowie wydawnictwa z wartością i ceną wychodzących u nas publikacyi, a wówczas dopiero pojmiemy całą zasługę właściciela Biblioteki Kórnickiej.

Nie dość na tem. Nie poprzestając na wydawnictwie dzieł, hr. Działyński zawiązał w Paryżu *Towarzystwo nauk ścisłych*. Celem tego Towarzystwa, jak mówi art. I Ustawy, jest: „zebranie i spożytkowanie dla kraju sił naukowych po za jego granicami znajdujących się." Towarzystwo ma swój lokal, bibliotekę, odczyty i *Pamiętnik* wychodzący corocznie. W zakres naukowy Towarzystwa wchodzą: 1-o. nauki matematyczne, 2-o. przyrodzone, 3-o. nauki oparte na poprzednich a mianowicie inżynierskie. Członkiem towarzystwa może być każdy, kto nad wspomnionemi naukami pracuje a nawet i ten, kto tylko cele Towarzystwa podziela; wysokość składki jednorazowej przy wejściu, a następnie miesięcznie wnoszonej pozostawia się do woli każdego. Członkowie udzielają sobie braterską pomoc tak w kwestyjach nauki, jak i tam gdzie chodzi o protekcyję i pieniężny zasiłek,—do czego ma również prawo i każdy uczący się, choćby do Towarzystwa nie należał.

Szczegóły te czerpiemy z Pamiętnika Towarzystwa, którego dwa tomy mamy obecnie przed oczyma. Tomy te obejmują działy i nazwiska następujące. Dział matematyki czystej opracowali: Wł. Gosiewski, Wa: Żmurko, J. Franke, Wł. Trzaska. Dział astronomii F. Kucharzewski (o Astronomii w Polsce). Dział mechaniki Wł. Gosiewski. Prócz tych znajdują się artykuły: O nitroglicerynie i dynamicie S. Zalińskiego, Ocena prac pp. Niewęgłowskiego i Folkierskiego robili p. A. Sągajło i p. Wł. Gosiewski, których prace w obu tych tomach tak ze względu na treść jak i na ilość jedno z najpierwszych miejsc zajmują. W końcu pierwszego tomu znajduje się program konkursu p. t. *Ocenienie prac matematycznych H. Wrońskiego*.

Na ostatniej kartce Pamiętnika znajduje się spis dzieł mających wyjść wkrótce, lub już będących w druku, i tak: W. Folkierskiego *Rachunek całkowy i Całkowanie równań różniczkowych*, A. Sągajły *Algebra* i *Geometryja analityczna*, G. H. Niewęgłowskiego *Mechanika rozumowa*, W. Gosiewskiego *Wykład mechaniki cząsteczkowej*, W. Klugera i F. Kucharzewskiego *Wykład Hydrauliki*, Hulewicza *O budowie mostów*.

Spis ten przekonywa, że z czasem mieć możemy bogatą literaturę matematyczną, lecz czy ona wystarczy? Pominąwszy już że nie wiemy czy Algebra p. Sągajły, ma być niższa czy wyższa, trudno zamilczeć że wyżej podany spis nie obejmuje wszystkich gwałtownie potrzebnych nam książek, nie widzimy w nim bowiem np. Geometryi wykreślnej, Rachunku przemienności i t. d., a wreszcie Historyi matematyki. Cóż teraz mówić o całości programu obejmującego oprócz matematycznych—nauki przyrodzone i inżynierskie?

Czy jednak z uwagą tą mamy prawo zwracać się do szanownego nakładcy? bynajmniéj; wiemy bowiem że najlepsza wola jednostki, największy pojedynczy majątek nie zdołają w wielkiem przedsięwzięciu zastąpić udziału całego społeczeństwa; dla wszechstronnej bowiem korzyści z wydawnictwa, potrzeba wielu czytelników i wielu kapitałów, a skąd wziąść jednych i drugie?

Jedynemi czytelnikami dzieł o których mowa, mogą być tylko studenci matematycznego wydziału, lecz nie każdy z nich z powodu innych rozlicznych wydatków, będzie w stanie, mimo niskiej ceny, zakupić dzieła wyszłe dotąd lub wyjść mające nakładem Biblioteki Kórnickiej. Z jednej więc strony wydawnictwo o którem mowa nie upowszechni się w kraju tak jakby tego pragnąć należało, z drugiej znowu strony powolny i słaby rozkup szkodliwie oddziała na dalszy rozwój wydawnictwa i co najmniej, bardzo takowe opóźni. Cóż robić zatem?

Naszem zdaniem najwłaściwszą byłaby składka ogólna, za pośrednictwem której, pieniądze w wielkiej ilości zebrane mogłyby posłużyć do wykupienia dzieł wyszłych już i wychodzących. Tak nabyte komplety należałoby rozdawać między niezamożnych studentów, a tym sposobem i wydawnictwo poszłoby raźniej i zyskałoby na ilości.

Nie wątpimy, że pisma nasze dbałe o chlubę i pożytek kraju, baczniejszą odtąd zwracać będą uwagę na prace Towarzystwa Nauk Ścisłych, które z taką gorliwością wzięło się do zapełniania luk w naszej literaturze naukowej. Mężowie ci dobrze się zasługują społeczeństwu, nie odmawiajmy im więc poparcia i zachęty, bo praca ich jest dla nas—i sława jaką kiedyś zyskać mogą, stanie się naszą sławą.

Przypuśćmy teraz, że dzięki ogólnemu współudziałowi, wydawnictwo Towarzystwa rozwinie się tak, że po kilku latach każdy matematyk, naturalista i inżynier znajdzie we własnej literaturze potrzebne mu książki, napisane w duchu najnowszych postępów nauki; czy przez to jednak podniesie się średni poziom oświaty matematycznej i przyrodniczej w kraju, czy nauki te przesiąkną w masy i pobudzą samodzielność w naszych rolnikach i rzemieślnikach? Nie sądzimy, brak nam jest bowiem popularnej matematyczno-przyrodniczo-technicznej (jeżeli tak nazwać wolno) biblioteki, której treść stanowiłyby namacalnie wyłożone prawdy z zakresu różnych rzemiosł i z życia praktycznego czerpane. Dzieła elementarne jakie posiadamy dotąd, nie są bynajmniej popularnemi i koniecznie ustnych wymagają objaśnień,—jest zatem brak, który gwałtownie usunąć potrzeba.

Wyznać należy, że od lat kilku rozpoczął się u nas ruch w tym kierunku i że już nie są nam obce traktaty popularne różnych dotyczące przedmiotów, lecz ruch to niedawny i niezupełnie jeszcze siebie świadomy, między bowiem pojedynczo ukazującemi się pracami nie ma określonego porządku i związku. Prawda, że w pamięci czytelników pism peryjodycznych mogło wiele nowych utworzyć się i pozostać wiadomości, ale o praktycznych korzyściach tego nabytku mowy nawet być nie może; sądzę jednak, że podział pracy i wzajemne wspieranie się zastosowane do wydawnictw łatwo i prędko niedogodność tę potrafiłyby usunąć.

Środek jest bardzo prosty, potrzeba tylko aby każdy właściciel pisma zobowiązał się wydać w ciągu roku jedną lub parę książek z których każda w sposób jak można najprzystępniejszy, traktowałaby jakąś pojedynczą naukę; jedna np. arytmetykę, druga geometryję, inna mechanikę, inna fizykę i t. d. Jak najmniej teoryi a jak najwięcej praktycznych przykładów, jak najmniej definicyi a jak najwięcej rysunków, oto zasadnicze warunki dziełka mającego być poczytnem i korzystnem. Gdyby następnie wydawcy tych książ-

---

wyciągnąć można. Ale jestto zresztą jedyna myślowa wada powieści, której skądinąd szczery należy się poklask.

* * *

W Nr. 15 *Niwy* czytamy artykuł p. n. *Mieszczaństwo średnie*. Jest to niejako dopełnienie obrazu mieszczaństwa, który (w poprzednim artykule) przedstawiał klasę bogatą. Autor wykazuje wielką doniosłość spółeczną średniej warstwy ludności jako *pośrednika pomiędzy bogatemi a ubogiemi*, jako korpus budynku łączący szczyt z dołem. Zwracając się do żydów wytyka nieprodukcyjność a nawet szkodliwość sekty *husytów;* nastaje na chęć paradowania, na żądzę jak najszybszego *gwałtownego* dostania się w szeregi arystokracyi, co pociąga za sobą konieczność płaszczenia się w obec wyższych materyjalnie i utratę pewnej części samodzielności. Z tego powodu robi autor kilka nader trafnych i zacnych uwag, które powinny wyryć się głęboko w umyśle każdego. „Istnieje u nas, powiada, zwyczaj dosyć zgubny, że na czele cokolwiek ważniejszych przedsiębierstw stawać muszą nazwiska znane." Takie poddawanie się pod sterownictwo osób, które nie zawsze mają *dość* czasu a niekiedy i chęci do szczerego zajmowania się sprawami ogółu, jest przyczyną nadzwyczaj wielkiéj *bierności* mas, niezdolnych do uczynienia żadnego samoistnego kroku, nie mogących obejść się bez paska piastuna czy piastunki. Należy więc zrzucić tę pęta, jeżeli chcemy wyrobić w sobie charakter samodzielny. Stąd też autor bardzo słusznie powiada: „Mieszczaństwo średnie dążyć powinno do większej samodzielności, albowiem w ten tylko sposób nauczy się kierować własnemi sprawami. Trzeba właśnie wytężyć wszystkie siły, trzeba zrobić wszelkie możliwe usiłowania, aby zdobyć sobie w społeczeństwie stanowisko poważne. Gdy to nastąpi, przestaniemy się już pytać, kto kogo rodził, lub ile posiada pieniędzy, wystarczy wtedy zacność charakteru, energija w działaniu i umiejętność, dająca rękojmię powodzenia." To, co tu mówi się o jednéj klasie społecznéj, powinno być usiłowaniem wszystkich członków społeczeństwa. Jak najwięcéj samodzielności, jak najmniéj tchórzliwego chowania się za plecy innych.....

* * *

Wspominaliśmy już nieraz, że w każdém społeczeństwie stronnictwa być muszą. Niepodobna ludzi odlewać podług jednego raz ustalonego modelu; niepodobna z mózgów ludzkich wycinać takich foremek, jakie się z papieru wykrawają. Co więcéj gdyby wszyscy mieli jednakowe wyobrażenia i uczucia—nastąpiłby umysłowy zastój i martwota; fakt podobny do tego, jaki widzimy w sadzawkach nie mających żadnego odpływu. Sadzawki takie pozbywszy się wkrótce wody zamieniają się w cuchnącą kałużę... społeczeństwo zaś nabiera cech chińszczyzny. Potrzeba więc różnorodność i zdań i poglądów dla zdrowia duchowego jest widoczna. Starcia, jakie pomiędzy niemi następują, są objawem budzącéj się samodzielności, którą wszelkiemi siłami wzmagać i podnosić należy. Wszelkie spory mające na celu rozjaśnienia pewnych kwestyj, są w najwyższym stopniu pożądane; gdyż jednostka lub nawet szersze jakieś koło jednostek nie może nigdy stanowczego a prawdziwego wydawać sądu o wszystkich rzeczach, jakie pod uwagą społeczeństwa podpadają. Jedno tylko zrobić tu należy zastrzeżenie: do takich sporów potrzeba nauki, nauki prawdziwéj a nie powierzchownego dyletantyzmu, który błyskotliwą frazeologiją chce sobie torować drogę do umysłów słuchaczy lub czytelnika; a powtóre potrzeba sumienności w ocenie obcych myśli. Jeżeli jednego lub drugiego brakuje, — spór będzie jałową gadaniną, rozdrażniającą tylko osobistości a nie przynoszącą żadnéj korzyści dla ogółu. Zdarzyć się bowiem może, że ktoś najpoczciwszemi ożywiony myślami, chce wystąpić przeciwko pewnym dążnościom, prze-

żek zgodzili się na ich wzajemną wymianę i zarówno własne jak i nabyte wydawnictwa rozdali między prenumeratorów pism w formie bezpłatnych lub bardzo tanich dodatków,—to łatwo pojąć, że po upływie lat kilku bez wielkich kosztów ze strony nakładców i czytelników uformowałaby się biblioteka popularna z dziedziny najpotrzebniejszych wiadomości.

Raz wzniosłszy taką podstawę dla oświaty, łatwiej już potem oprzeć na niej jakieś specyjalne wydawnictwa, jakieś podręczniki dla cieśli, kowali, ślusarzy i t. d. a następnie podtrzymywać ten wysoki nastrój ogólnego ducha za pomocą prelekcyi czytanych dla mniej i więcej wykształconych osób, a mamyż mówić ileby zyskał na tem nieistniejący prawie dziś przemysł i rzemiosła krajowe?

W końcu, niech nam jeszcze wolno będzie zwrócić uwagę na jedną bardzo doniosłą, choć nie dobrze przez ogół rozumianą kwestyję.

W roku bieżącym *Wędrowiec* podawać zaczął matematyczne zagadnienia, wzywajac czytelników swoich do rozwiązywania ich;— piękny ten przykład naśladuje *Opiekun Domowy* umieszczając zarazem pytania z pedagogiki, psychologii i t. d. słowem z dziedziny nauk mniej ścisłych, który to rodzaj zagadnień znajduje się już i w Wędrowcu. Współcześnie *Niwa* podobneż ogłosiła zagadnienia potęgując interes dla nich obietnicą honoraryjów za te z nich, które kwalifikowałyby się do druku. Otóż nie możemy ukryć zdziwienia, dla czego inne pisma nie naśladowały tych przykładów, dla czego nie naśladują ich mianowicie *Przyroda i Przemysł* tudzież *Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza?* Publiczność nasza mało z podobnemi kwestyjami oswojona, nie dość też wielki udział w nich przyjmuje, nie zapominajmy jednak o tem, że w miarę większego upowszechniania się zagadnień w pismach i zajęcie dla nich w publiczności wzrastać będzie. Tylko jednomyślne i wytrwałe oddziaływanie prasy może obudzić drzemiące zdolności ogółu i wydać owe rezultaty do których wszyscy pojedynczo wzdychamy.

Aleksander Głowacki.

PAMIĘTNIKI PANA SYMFORYJONA.

Z notatek po nim pozostałych

SPISAŁ

Walery Przyborowski.

(*Dokończenie*).

— A pani! tyle robactwa jest na świecie, że nie dadzą tak iść człowiekowi, odpowiadał pan Zygmunt, jakby chciał i powinien. Obstąpią go, opadną i zgniotą nawet nieraz.... Trzeba się z niemi rachować.

— Nie trzeba panie, nie trzeba, wołała krwi oblewając się purpurą, robactwem się gardzi a swoje się robi. Nie zawsze chwile szczęścia się powtarzają. Korzystajmy z nich, bo tyle naszego.

Ano ślicznie mówiła ale jakoś niebezpiecznie. Nie rozumiałem jać tam wprawdzie tego, ale przeczuwałem. Mam bowiem dobry nos. Przerażały mię te rozmowy, te stosunki coraz szczersze, coraz bliższe, te uśmiechy, to patrzenie sobie w oczy. Pan Zygmunt patrzał w nią jak w tęczę. Żal mi było serdecznie Sabinki, czułem się winnym, żem skleił prawie to małżeństwo, żem nieszczęście na siostrę moję sprowadził, a tu jeszcze nie było ratunku, nie podobna było zapobiedz. To mię panie tak gryzło i martwiło, żem zmizerniał, mało jadł, źle trawił, do Eldorado nawet mało chodził, bo mię już i Gosz nie bawiła

Przyszło do tego nakoniec, że pan Zygmunt w domu prawie nie bywał, że począł się publicznie afiszować z panną Juliją. Złe ogarnęło go ze wszystkiem. Tu już i moja Elżutka spostrzegła, że za daleko zajechali, więc pewnego dnia, chwyciwszy pana Zygmunta na osobności, palnęła mu panie sążnistą oracyję. A no na nic się to nie zdało. Pan Zygmunt jej na to odrzekł ni w pięć ni w dziewięć, przypomniał jakiegoś Brutusa.

— I ty Brutusie przeciwko mnie! i swoje robił.

Kiedy więc z nim nie mogła sobie dać rady, przyczepiła się do panny Julii i jéj te samą oracyjkę w ucho włożyła. Panna Julija spłonęła rumieńcem, strachnęła się i załamując białe jak marmur rączki zawołała:

— Cóż ja pocznę co ja poradzę? stało się! Wód Dunaju nikt nie cofnie, nie zwróci — z namiętnością to samo—ja, Bóg widzi nie jestem winna, nie chciałam tego, ale bronże pani sercu kochać. Ia go kocham i wydrzeć sobie nie dam, o! nie dam! — I cała płomienna chodziła po pokoju miotając się w sobie jak lwica po klatce. Ano źle było. Elżutka machnęła ręką i powiedziała:

— Nie ma rady! niechże się ten płomień wypali! I dała już wszystkiemu pokój. Ja choć byłem srodze takim stanem rzeczy zmartwiony, przecież widząc, że i Elżutka się spostrzegła iż to nie przelewki, chcąc się na niej zemścić za to, że mię kiedyś tak skonfundowała kiedym jej uwagę zwracał na niebezpieczeństwo tego stosunku, przyszedłem do niej i zapytałem się:

— A co Elżutko, ja oszalałem? prawda?... a co tobie do tego, że oni się kochają? co to, ty bocianem zostałaś Elżuniu!...

Na te moje słowa Elżutka zmarszczyła brwi, zarumieniła się i tupiąc nóżką w podłogę, zawołała:

— Idź do wista ty biurgerze, do komisarza na bezika, a nosa tam nie kładź gdzie nic nie rozumiesz—safanduło!

— A idę, idę... safanduło!... i spuściwszy uszy, wyniosłem się panie cichutko, bo widziałem, że Elżutka jest w złym humorze— a wtedy z nią nie były żarty. Bo to kobieta jak wpadnie w złość, to gorzej żywego djabła. Najlepiej uciec jéj z oczów i przesiedzieć gdzie w kącie dopóki burza nie minie.

Wracając do rzeczy, bo chcę już jak najprędzéj skończyć to moje opowiadanie, dla tego, że przypominając sobie dawne wypadki, czuję, że mi się źle robi — otóż wracając do rzeczy, ze wszystkich osób najbardziej mię dziwiła Sabinka sama. Ta energiczna, żywa niegdyś kobieta, opadła tak jakoś na siłach, tak się czuła osłabiona, że niezdolną była już do niczego. Zbladła jak trup, zwiędła, zesmutniała, aż się serce krajało patrzeć na nią. Oj! ciuczeni, mądrzy panowie! żebym miał władze tobym to wszystko kazał powywieszać a zostawić tylko spokojnych obywateli. To są wiercipięty, półgłówki, nic więcéj.

Chciałem więc krzepić Sabinkę jak mogłem, radząc jéj:

— Ano nie upadaj Sabinko, nie martw się—stań śmiało, odważnie, upomnij się o swe prawa żony—a zwyciężysz, jakoś to będzie!...

— Ach mój szwagierku, szeptała biedna zalewając się łzami, ja już do niczego nie jestem zdolną! złamało mię to nieszczęśliwą.

---

ciwko pewnym prądom, które za niewłasciwe lub szkodliwe uważa; będzie to objaw zacny sam w sobie, ale najzupełniéj bezpłodny. Argumenty naukowe nie dadzą się zwalczyć zaklęciem, ani łzą; siła nie ustąpi przed niemocą; prawa nie zmieni usmiech choćby najsłodszy. Na nieszczęście, ze wstydem wyznać należy, że u nas właśnie najczęściéj napotkać się dają błagania i jeremijady—albo gburowate wymyślania tam, gdzie *dowód* byłby bronią jeżeli nie najskuteczniejszą, to przynajmniéj najodpowiedniejszą. I teraz zanotować musimy fakt pod tę kategoryją się podciągający. Pan *Jeske* napisał artykuł: „*Ludzie i hasła XIX wieku* (Tyg. Mód Nr. 29 i 30). Zdawałoby się, że znajdziemy tu obraz tych licznych walk, jakie odbywały się w ciągu naszego stulecia i dotąd odbywają. Omyłka. P. *Jeske* przelękłszy się mary *naturalizmu;* „nieco gorszego od materyjalizmu“, wystąpił przeciwko działalności „*nowych* ludzi, *nowego* społeczeństwa“, przypisując im zasady destrukcyjne, dążności okropne, miażdżące ludzkość na drobny proszek, burzące wszystko, co było dotychczas szanowane i święte. Poezyja, teatr, nauka, życie prywatne i publiczne—wszystko to chcą ogarnąć, drapieżne polipie odnóża naturalizmu. O wyobraźnio! bogini piękna, zachwycającego zwykłych śmiertelników—i zmory, duszącéj hipokondryków, — jakiež ty czynisz spustoszenia w obrębie... jednego mózgu!... Pytamy się p. Jeskego, kto u nas występuje z teoryją naturalizmu, kto u nas podnosi to hasło? Odpowiedź na to trudna, gdyż faktów p. J. nie przytacza żadnych—a my ich wcale nie znamy. Zresztą niepodobna nam nawet spierać się z autorem o znaczenie tego systematu, kiedy nie określił, jak go pojmuje. Wszystkie bowiem patetyczne tyrady, jakiemi p. Jeske przepełnił swój artykuł, są zapewne dowodem głęboko zranionego serca, ale nie zbyt wielkiéj siły w argumentacyi. Wyrzekania np. na nieuctwo poetów (bardzo słuszne) zestawione z piorunowaniem na nauki przyrodnicze dowodzić może tylko dwu rzeczy: 1-o że autor nie odróżniał zasad naturalizmu od idealizmu albo 2-o że te różnice naumyślnie zatarł; boć kto nie wierzy w *idee wrodzone*, ten nie może odciągać młodego człowieka od nauki, gdyż wie, że bez niéj samorodny genijusz mógłby co najwyżéj dojść do sztuki tatuowania się; kto sądzi, że znikąd nie spadają gotowe już arcydzieła; ten każe zaprządz się do pracy i nauki, ażeby je wytworzyć. Tu malutki przykład, któryby mnóstwem innych powiększyć można wystarczy dla wykazania, w jaki sposób p. *Jeske* dowodzenie pojmuje. P. Jeske twierdzi, że „*kwestyja* i *wartość zasad*—to rzecz *gustu.*“ Olbrzymia niedorzeczność tego zdania pod względem naukowym, każdemu bardzo jasno się przedstawi, jeżeli zważy, że nauka, będąca podstawą wyrabiania się zasad, nie może się opierać nawet na przypuszczeniach — a cóż dopiero na guście osobistym, jednostkowym. Że słońce świeci, że dwa razy dwa jest cztery — o tém każdy sądzić *musi* jednakowo; kaprys gustu nic na to nie poradzi. Jeżelibyśmy zaś powyższe zdanie p. J. przenieśli na pole interesów społecznych, rządzących się pewnemi zasadami; to byłoby ono usprawiedliwieniem wszelkich przewrotności, za gust bowiem nikt nie odpowiada... Zapewne p. Jeske o takich konsekwencyjach nie myślał; może sądzić, że zasady loiki są również kwestyją gustu;— ale przecież każdy sumienny człowiek powinien rachować się ze swojemi słowami, ażeby się nie stały ziarnem kąkolu lub blekotu....

I w istocie była jakby złamaną: Zaniedbała się we wszystkiem, posmutniała... Tymczasem pan Zygmunt ciągle dalej szalał. W domu rzadko się pojawił, a jeżeli był, to jakiś opryskliwy, gwałtowny, dziki.

Sabinka raz zdobyła się na tyle odwagi, ze zaczęła go strofować. Skoczył jak oparzony; krzyknął prawie wściekły:

— Idź do kuchni, do garnków — to twoja rzecz! do czego innego się nie wtrącaj.

Mnie kiedym mu uwagi robił, powiedział, żem głupi! Tak się rozbijał ten literat, uczony pół główek—człowiek co chciał nowe drogi społeczeństwu kreślić. Piekne mi drogi! Latać za podejrzanej reputacyi kobietami. Ano wszyscy oni tacy, ci postępowcy—istna banda rozbójników, komunistów czerwonych.

Taki stan trwał dość długo — aż nadszedł jakiś wypadek, którego szczegółów ja nie znam, bo Sabinka nie chce o nim mówić, a panny Julji nie ma w Warszawie, który napiętą zbytecznie strunę, rozerwał. Podobno Sabinka i panna Julija spotkały się tam gdzieś i starły dość żywo. Ano nie wiem jak tam było — dość, że potém zaraz panna Julija z Warszawy wyjechała a za nią pan Zygmunt, że się włóczyli obydwoje po Włoszech, aż mój szwagierek w łeb sobie palnął podobno w Sycylii, czy gdzieś tam — a co się z panną Juliją stało to nie wiem....

A Sabinka? Sabinka młoda wdówka i pieniężna, ma licznych konkurentów ale jeszcze nie chce za mąż wyjść, ubiera się czarno, z czem jéj bardzo do twarzy i często się modli. Mam nadzieję, że ten smutek jej z czasem wywietrzeje z głowy i rozgrzeszy się a pójdzie za syna Sędziego Trybunału, spokojnego i porządnego bardzo młodzieńca, którego jéj zalecam.... Moja żona od téj smutnéj katastrofy, także spoważniała bardzo literatów a artystki rzadko przyjmuje, choć nie możę się jeszcze pozbyć zupełnie ich towarzystwa.

Ale z czasem Bóg da, że i to nastąpi.

Otóż masz wszystko mój Benawenturo. Ja przyszedłem do tego przekonania, że najgorzéj ten robi, kto się żeni z kobietą innych pojęć i wyobrażeń. Ano cóż robić!... czasem się tak małżeństo sklei ni stąd ni z owąd. Mój Benawenturko proszę cię bardzo a bardzo, pod mojem błogosławieństwem, nie wdawaj się nigdy z tą hołotą, temi waryjatami, literatami et comp.

To czysta dżuma, która....

(tu brak ostatnich kart notatek.)

KONIEC.

GAWĘDY

T. T. Jeża.

I.

Słówko wstępne. — Zwyczaj i przyzwoitość nakazują przedstawić się, wchodząc w towarzystwo nowe.

Staję do współpracownictwa w *Opiekunie Domowym*:— wchodzę przeto w towarzystwo nowe, w świat nowy—do warsztatu nowego. Ja, człek nie dzisiejszy, wciskam się pomiędzy młodych, przez co, obszedłszy już — że tak się wyrażę—kółko swoje, rozpoczynam niejako iść na nowo. Słuszna więc, ażebym się przedstawił, i w warsztacie i czytelnikom, ażebym powiedział, jakim mianowicie może być mój w pracy udział.

Z młodymi nie zdążę — to darmo! Toż mi bynajmniej o wyścigi nie chodzi, ale o to, ażeby módz jeszcze przydać się na co, chociażby w tej mierze co ów dziad, co kalikuje, gdy organista na klawiszach palcami przebiera i z nut tony dziwne wydobywa. Bez dziada kalikującego, organista, żeby jaki mistrz, nie potrafiłby organów ani nawet do pisnięcia zmusić. Chciałbym przeto być w warsztacie dziadem owym. Niech tam sobie inni — mistrze młodzi—grają, najlepiej jak zdołają; ja będę miechy nadymał.

Będę pisywał artykuły nie naukowe i nie nienaukowe, dotykające przedmiotów różnych, niekiedy nawet bardzo poważnych, a zawsze takich, które obchodzą żywo człowieka-obywatela, to jest, człowieka postawionego w obec zadań i obowiązków społecznych. Z tego com widział, słyszał, doświadczył, zaobserwował i przeczytał, będę zbierał wzory i formował z nich „Gawędy", nie krępowane żadnym systemem i nie ujęte w ramy żadnego z góry obmyślonego programu, ale zato trzymające się ściśle jednej myśli przewodniej, której hołduję, którą mam za dźwignię postępu, za źródło prawdy, za prawdę samą, która mi przyświeca gwiazdą zbawienia, pociesza mnie gdym strapiony, podtrzymuje gdy słabnę, popędza gdy uczuwam w sobie napady lenistwa, tej narodowej choroby naszej i wynagradza gdy się mi wydarzy co dobrego kiedy zrobić. Ciekawiście, zapewne, współpracownicy i czytelnicy moi wiedzieć: cóż to za myśl? Nie powiem. Dla czego? Dla tego że, gdybym powiedział, to nie chcielibyście czytać produkcyi moich pisarskich. Miejcie ją zresztą za fortel autorski, użyty w celu zaostrzenia ciekawości czytelnika, którego rzecz naturalna, radbym wszelkiemi sposobami zmusić do czytania tego co piszę. Bo, i na cóż bym to pisał!...

Owóż tedy, przedstawiwszy się w sposób powyższy, przystępuję do pogawędzenia **O Gospodarzu.** Gdzie też to dobre dawne czasy owe, w których postać gospodarza, owiana urokiem pół-poetycznym, wyglądała zachwycająco?..

Od gospodarza wymagało się tak nie wiele! Potrzeba mu było tylko być... poważnym, bardzo poważnym—poważnym, rozumi się w najlepszém przymiotnika tego znaczeniu, to jest, niedość było mieć minę odpowiednią, ale oraz posiadać należało i wartość moralną minie odpowiadającą. Nie poślednią tu rolę odegrywał typ nasz rasowy, odznaczający się harmoniją rysów, wytwarzających piękność plastyczną. Typ gospodarza, czy to miejskiego czy wiejskiego, rolnika, rzemieślnika, a nawet i handlarza, bywał to zazwyczaj człowiek lat po za czterdzieści, ozdobiony wąsem sumiastym i czołem bruzdami zmarszczków okrytem, na pozór surowego lecz w gronie dobrotliwego wejrzenia, oszczędny w słowa, zamyślony, ważący wyraz każdy,— rzetelny, uczciwy i nabożny. Z wyjątkiem rzetelności i uczciwości, wszystkie inne przymioty szły na rachunek rozumu, rozumu głębokiego—tak rzeczywiście głębokiego, że się na wierzch nie wydobywał nigdy, jako rzecz mniéj potrzebna.

— Tak robili ojcowie i dziadowie i dobrze im z tém było: tak robię i ja...

Oto formuła, za pomocą której wyrażał się rozum gospodarski.

Rozumu tego nabywało się w młodości sposobem terminatorskim. Rolnik terminował u rolnika, rzemieślnik u rzemieślnika, kupiec u kupca; przysłuchiwał się, przypatrywał i praktykował, następnie szedł w ślady poprzednika swego, trzymając się ślepo zwyczajów, przepisów i prognostyków, opartych na doświadczeniu i przechodzących tradycyjnie z pokolenia na pokolenie. Nabywanie nauki tego rodzaju przychodziło z wielką łatwością, tak, że trudno jéj było nie nabyć. Było to mechaniczne przejmowanie sposobów, nie wymagające wysiłku umysłowego najmniejszego. Pamięć sama wystarczała jak najzupełniéj, a i ta znajdowała pomoc wielką w przypomnieniach nieustannych, z jakiemi gospodarzowi nastręczały się przedmioty do jego fachu należące. Niezorana rola, naprzykład, wołała o orankę. Niezżęta niwa, upominała się o żniwo. Narządzano więc pługi, zaprzęgano woły, ostrzono sierpy i kosy i daléj!.. „jak robili ojcowie i dziadowie."

Przeciwko gradom zakopywano kartki z ewangielii na czterech rogach łanu.

W posuchę, święcono studnie, wychodzono z processyją w pole i pławiono czarownice.

W mokrą porę, rozpędzano chmury za pomocą bicia w dzwony. Przeciwko piorunom służył dzwonek loretański, z którym obchodzono zagrodę.

Na pomór i choroby szukano środków zaradczych w ziołach poświęcanych i w gusłach, łącząc w jedno *sacra* i *profana*. Wszystko to, razem wzięte, stanowiło rozum gospodarski, owoc doświadczenia wieków, nie trudny do nabycia i przechowania, bo przypominający się przy każdéj okazyi, wystarczający, bo ograniczający się na szczupłym zakresie działania. Brak komunikacyi trzymał gospodarza w pewnym rodzaju blokady, internującéj go w miejscu i zmniejszającéj jego potrzeby. Brak komunikacyi usuwał od niego konkurencyję. „Maciek zrobił, Maciek zjadł"—utarł gębę ręką na odlew i drzemał sobie spokojnie, trzymając się cnót negatywnych, to znaczy, bacząc na to, ażeby nie wykraczać przeciwko przykazaniom Boskim i ludzkim.

Doskonałość gospodarska łatwą była do osiągnięcia. Lat pięćdziesiąt jeszcze temu, tym gospodarzem był, albo niezdara jakiś, któremu do głowy nić łopatą nawet włożyć by się nie dało, albo też taki, co złym chciał być z umysłu, przez amatorstwo.

Zmieniły się jednak czasy. Nastała potrzeba mieć rozum, nawet i gospodarzowi. Dla czego?

Ażeby na zapytanie to odpowiedzieć, rozglądnąć się należy nieco po świecie. Zmiana czasów nie zaszła u nas, ale przyszła do nas. U nas stosunki, pozwalające gospodarować „jak robili ojcowie i dziadowie", byłyby się długo jeszcze utrzymały, gdyby za granicami kraju naszego nie objawił się postęp, sprowadzony głównie przyrostem ludności, która, ażeby wyżyć mogła, rzucić się musiała do pracy umiejętnéj. Praca umiejętna wyzwała tradycyjną do spółzawodnictwa i pobiła ją na łeb na szyję. I zagranicą gospodarowano niegdyś jak u nas; lecz, z pomnożeniem się ludności nadeszła chwila, w któréj gospodarowanie podobne okazało się niewystarczającém dla zachowania rodzaju ludzkiego. Poczęto doskonalić sposoby, i za ich pomocą, otrzymywać rezultaty pomyślniejsze aniżeli za dobrych dawnych czasów. Walka o byt, poruszywszy, że się tak wyrażę, ziemię i niebo wywołała ruch ekonomiczny ogólny, który, dla téj prostéj i naturalnej przyczyny, że stanowimy integralną Europy część, nie mógł nie odbić się i u nas. Prawo równowagi ekonomicznéj zapotrzebowało od nas tego, na czém Europie zbywa i zmusiło nas także do przyspieszenia ruchu i podniesienia produkcyi, co, z konieczności rzeczy, pociągnęło za sobą potrzebę chwytania się sposobów racyjonalnych, odbiegających coraz to daléj i daléj od tradycyi. Nastała potrzeba uczenia się na seryjo. Rolnik, rzemieślnik, kupiec, jeżeli nie chce przepaść z kretesem, musi przejść przez szkołę i przyozdobić głowę swoję wiadomościami systematycznie uporządkowanemi, a odnoszącémi się nie tylko do zakresu fachu jego, lecz sięgającémi dalej, wkraczającémi w zakresy fachów stycznych i dotycznych.

A jakiż fach nie styka się jeden z drugim? jaki nie dotyka jeden drugiego? Weźmy, naprzykład, rolnictwo. (*d. n.*)

GAWĘDY POPULARNO-NAUKOWE.

IV.

O soku mlecznym roślin.

(podług Schleidena, napisał *Edmund Jankowski.*

W lasach angielskiej Gujeny rośnie drzewo, przez krajowów *Hya-Hya* zwane. Jego kora i rdzeń, tak są sokami przepełnione, że mleko wypływające ze średniej wielkości pnia, który *Arnott* i jego towarzysze nad brzegiem bystrego potoku ścięli, w przeciągu godziny zafarbowało wody tegoż, na biało. Mleko to wcale nie jest szkodliwem i dzicy używają go jako orzeźwiający napój. Jeszcze delikatniejszym ma być smak mleka cejlońskiego drzewa krowiego *kiriaghuma,* które Cyngolom podług *Burmauna* w zupełności nasze mleko zastępuje.

Przeciwnie, strasznem jest działanie tajemniczego drzewa, z którego mieszkańcy doliny Orynoko *Wooraree* czyli *Curare* wyrabiają. Kurara jest sokiem jednej z roślin do toinowatych należącej, oraz z kory dwóch innych gatunków.

Pöppig wczasie swych romantycznych podróży po Ameryce Południowej miał sposobność poznać straszliwe skutki kurary. Indyjanie wydrążają i wygładzają starannie we środku długą rurkę, z twardego drzewa wyrabiają na stopę długą strzałę, jeden z jej końców maczając w kurarze, a drugi obwijają bawełną, tak żeby podobnie do szczelnego tłoka do rurki przystawał. Tak uzbrojony dziki czatuje na swego nieprzyjaciela, który może właśnie w tej chwili zajęty jest przygotowywaniem pożywienia z świeżo zabitej zwierzyny. Żaden szmer nie zdradza lekkich wprawnych kroków czatującego, żadne oko nie spostrzeże wśród gęstwiny krzaków zdradzieckiej rurki, z której silnem dmuchnięciem pchnięty, wylatuje skrzydlaty posłaniec śmierci, nawet na 30 kroków daleko ją niosąc. Od takiego pocisku, choćby najlżej draśnięta bezbronna ofiara, w kilka minut w konwulsyjach kona.

Jednym z przedstawicieli toinowatych posługują się także Amerykanie Północni do zatruwania strzał. Podobnież podaje *Mungo Park* o Maudingosach z nad Nigru.

Wiele innych pokrewnych z wymienionemi, roślin, do najgwałtowniejszych trucizn należy. Szczególniej niebezpieczne, są nasiona wszystkich tych roślin, na dowód czego dosyć wspomnieć, że dwie najjadowitsze trucizny roślinne, *strychnina* i *brucyna* z nich pochodzą. Najbardziej znane są w tym względzie gwałtowne dwa lekarstwa *bób S Ignacego* z Manilli i *wronie oko* wszędzie pod zwrotnikami rosnące.

Nie możemy przemilczeć szczególnego zastosowania orzechów Tauginy jakie mają one u Malgaszów (mieszkańców Madagaskaru). Obwinionego o jakąś zbrodnię stawiają przed publicznem zebraniem, w którem kapłani prezydują i zmuszają go połknąć taki orzech. Jeżeli obwiniony posiada tak silny żołądek, że jest wstanie tę okropną truciznę przez wonity oddalić, usprawiedliwiają go i uwalniają, w przeciwnym razie, przekonanie o winie jest zarazem karą za nią, bo nieszczęśliwy niechybnie umiera.

Cechy dwóch opisanych rodzin tak są wybitne, że je nawet początkujący bez trudu pochwycić może. Całkiem inaczej rzecz się ma z familią *pokrzywowych* (Urticaceae. Jussieu). Zewnętrzna budowa tych roślin niezmierną rozmaitość przedstawia począwszy od naszego chwastu, zielnej *pokrzywy,* a kończąc na okazałem *drzewie chlebowem* które swemi wielkiemi liśćmi okrywa chaty mieszkańców oceanu Spokojnego, karmiąc ich obficie pożywnym owocem. Mało ostromleczów dostarcza smacznego pokarmu w postaci swych nasion, niewiele też toinowatych wydaje orzeźwiające słodko-kwaskowate owoce, lecz pokrzywowate odznaczają się osobliwszą rozmaitością owoców. Małe oleiste nasiona *konopi,* zielone, do gronek podobne szyszki *chmielu* aromatyczne jagód *morwy,* słodkie *figi,* pożyteczne owoce *drzewa chlebowego,* wszystkie te różnorodne formy do jednej gruppy roślin należą. Jakkolwiek rodzina ta z tak różnorodnych przedstawicieli się składa, to jednak charakteryzuje się ona pewną własnością, wszystkim jej członkom właściwą. Mamy tu na myśli włókniste łyko pokrzywowatych. Jeszcze dziś pewna przędza, pokrzywka się zowie, a pilność mieszkańców wyspy Taiti przygotowywa z łyka *drzewa papierowego* czyli *Auté,* najdelikatniejsze materyje a to bez pomocy kołowrotka i tkackiego warsztatu.

Spokrewnione z poprzedzającem, delikatne drzewo, *Holquahuitt* Meksykanów, albo *Ule di Papantla* Hiszpanów wydaje nowohiszpański kauczuk, massami do Europy przywożony, a największa ilość tej użytecznej materyi z Indyi Wschodnich do nas przysyłana, pochodzi ze szlachetnej figi. Na grubym, potężnym lecz rzadko wyższym nad 15 stóp pniu, spoczywa niezmierna korona *świętej figi.* Długie do 100 stóp gałęzie, biegną w kierunku poziomym, tu i owdzie wypuszczając z siebie korzenie powietrzne, które dotknąwszy ziemi umacniają się w niej, grubieją i tym sposobem tworzą podpory olbrzymich gałęzi. Syjamczycy poświęcają te drzewa, z których każde mały las stanowi, bożkowi *Fo,* a między gałęziami tej figi, leniwy bonz, buduje swą chatkę, bardzo do klatki podobną, śpiąc w niej przez większą część dnia, a resztę czasu bezczynnemu rozmyślaniu poświęcając. Wszystkie te drzewa nie mają wprawdzie jadalnych owoców, lecz za to wydają wyborny kauczuk. (*D. c. n.*)

LISTY Z KRAKOWA.

II.

Kraków 29 Lipca 1872 r.

Pisałem już wam jakiego to warchołu narobiły tu wybory na radców miejskich. Wiecie już, że wybrano ich nareszcie. Sądzicie, że i rzecz skończona? Nie, u nas nic się nie kończy odrazu. Gdzieindziej kto nie ma prawa uczestniczyć w wyborach, ten do nich i dopuszczany nie bywa; kto nie kwalifikuje się na radcę, na tego głosować nie będą, bo władza właściwa, kierująca wyborami, z góry zaprzeczy temu. U nas dzieje się inaczej. Wybierali ci, którzy nie mieli do tego najmniejszego prawa; wybrani również nie mieli stosownej kwalifikacyi. Wykryła to osobna komisyja wyryfikacyjna, ustanowiona już po ukończeniu wyborów. Komisyja wykryła rozmaite nadużycia, wskutek czego 12 z nowo obranych radców tracą swoje posady, a na ich miejsce będą obrani inni w d. 5—7 Sierpnia. Lecz któż zaręczy, że znowu nie wykryją bezprawia, nielegalności, że nie wypadnie po raz trzeci wybory ogłaszać? A można się tego spodziewać, gdyż komisyje wyborcze zostały te same t. j. te same które świeżo dały dowód jak ściśle umieją przestrzegać praw statutu wyborczego. Nadto i lista wyborców pozostaje taż sama chociaż dowiedzionem jest, że na tej liście niemało jest „nieboszczyków".

Cesarz austryjacki potwierdził już 12-tu pierwszych akademików, których listę uprzednio wam przesłałem. Na mocy statutu zasiedli tedy potwierdzeni akademicy do wyboru 24-ch innych kolegów swoich. Wybory już dokonane zostały i listę przesłano ministeryjum dla uzyskania uchwały. Podług statutu cesarz może jeżeli zechce odrzucić połowę z tych 24-ch kandydatów. Następnie akademicy nowo uchwaleni w połączeniu z 12-tu już potwierdzonemi dokończą ukompletowanie akademii wybraniem nowych członków czynnych—zwyczajnych i członków czynnych korrespondentów.

Że fakt wyborów dokonany, otem wiadomo wszystkim; alo kto wybrany—nikt o tem nie wie. Wiadomo wszakże z pewnością, że wybrani są wyłącznie sami tylko galicyjanie.

A więc dość było tego faktu, ażeby „Kraj" i niektóre inne gazety podniosły warchoł niesłychany. Oto wołają, skandal, który przewyższa i daleko za sobą pozostawia wszelkie skandale, jakich miasto nasze było kiedykolwiek widownią.

A jednak niema wtem żadnego skandalu. Wiemy z pewnością, że chociaż rzeczywiście wybrani zostali sami galicyanie, ci co dokonali tego wyboru, nic temu nie winni, gdyż otrzymali rozkaz od rządu, z wyraźnem zastrzeżeniem, ażeby nowi akademicy byli poddani austryjaccy.

Statut Akademii (§ 14) zgoła nie zakreśla konieczności, ażeby akademicy byli koniecznie poddanymi ausryjackiemi. Wprawdzie tenże § zastrzega, że przynajmniej połowa ogólnej liczby *członków czynnych zwyczajnych* musi być zamieszkałą w Krakowie, co jest rzeczą bardzo naturalną, gdyż zamiejscowi niemogą brać stałego udziału w czynnościach akademii.

Cesarz wedle statutu może odrzucić połowę wybranych, ależ nikt mu zabronić nie może zatwierdzić i 24; w takim razie liczba miejscowych członków wynosiłaby aż 36! to byłby już naprawdę skandal! Znaleźć w Galicyi 36 akademików, to rzecz nielada. Musieli więc wejść na listę może i zdolni i zasłużeni pracownicy, wszakże nie tacy, którzyby mieli prawo na krzesło akademickie obok Libelta, Cieszkowskiego, Maciejowskiego, Hubego, Domejki, Cieńkowskiego i t. d. Dla czego wydany został taki rozkaz, to nie do pojęcia. Wiadomo z dawnych reskryptów cesarza i z treści samego statutu, że początkowe przeznaczenie akademii było właśnie, ażeby szeroko otworzyć drogę do pracy naukowej.

Rozstrzygnienie kwestyi nastąpić może zaledwo w jesieni, bo dziś akademicy rozjechali się już na letnie feryje.

Dumania, marzenia stanowiły długo jakby specyjalność naszą, a szczególnie galicyjską. Za wiele czasu straciliśmy na dumania i marzenia. Dziś widzimy zwrot inny, ku rzeczywistości. Ale w Galicyi wielu jeszcze i dziś dumać i marzyć nieprzestaje. Oto *Przegląd Polski* wydawany w Krakowie przez Stanisława hrabiego Tarnowskiego, przy głównym udziale Józefa Szujskiego, ogłasza w ostatnich książkach *Dumanie Polaka* profesora historyi na wszechnicy Jagiellońskiej, świeżo wybranego akademika, p. Antoniego Walewskiego. Dziwne to też *Dumania!* Duma np. szanowny profesor, że „książe Bismark występował zawsze jako *spirytualista* (sic!), brzydził się wszelkim materyjalizmem, więc także liberalizmem wprost—i loicznie przez negacyje spraw kościelnych i historycznych prowadzących do materyjalizmu i zdaje mu się, że dawnego przekonania niezmienił.

Niemożna niepodziwiać erudycyi autora i tej łatwości z jaką nagina wypadki, same dzieje przekształca podług swojego widzimisię, wedle wysuniętych przez ultramontanizm wskazówek. Stąd to obok prawd historycznych, wiedzy głębokiej, poglądów zdrowych, pomysłów oryginalnych, zgoła niezrównanych, spotykamy się z jakąś pocieszną junakieryją tylko młodzikom niewytrawionym właściwą,

z sofizmatami i wywodami bez żadnej historycznej podstawy. Zdaje się widzisz przed sobą namiętnego myśliwca, który dziarsko a śmiało przebiega pole mając pod ręką wszystkie zasoby myśliwskie, z przeświadczeniem więc otacza knieje, nieprzyjaciel umknąć niemoże, a jednak skoro się zbliży do celu, wywróci takiego koziołka, skoczy tak dalece w przeciwległą stronę, jak gdyby z rozmysłem chciał bramę otworzyć, ażeby zwierze uszło, ażeby celu nieosiągnąć, tak, że nawet ogary skierowane na niewłaściwe tory, głupieją...

P. Walewski głęboki historyk, głęboki myśliciel, talent to potężny, wiedza ogromna—ale jakieś dziwne wyroki popchnęły ten dzielny umysł na rozdroże, wskazały mu wyłączną drogę, z której zejść nie może, czy nie chce. A więc niejest i nie może być kapłanem bezwzględnej prawdy historycznej, raczej służalcem niewolniczych idei. Powiada, że sam Bóg jest autorem Historyi. Bóg przecie jest prawdą bezwzględną, a więc i historyk powinien szukać tej prawdy, bez uprzedzeń, bez tych urojeń i mrzonek, które go zmuszają naginać fakta do swojego widzimisię.

Ludzie przesądni, a z wypadków nadzwyczajnych wróżący o przyszłości, mają tu teraz nielada do czynienia. Już to dobrego zwykle nikt prawie nie wróży, zato złe przepowiadających amatorów dużo. Otóż u nas w klasie próżniaczej, w klasie, która natarczywie odpycha wszystko co ją mogłoby zmusić do postępu na drodze zdrowej loiki i głębszego myślenia, a co ona zowie pozytywizmem, nihilizmem i t. d.,—popłoch niemały. Już to te powodzie, urywanie się chmur, częste burze i nawałnice, te pioruny, co to tylu pobożnych ludzi pozabijały, następnie te złowrogie zorze, albo ta mająca się odbyć *niezawodnie* (w Sierpniu) utarczka naszego planety z kometą (ohoć temu zaprzecza Dr. Karliński w „Czasie", ale wiadomo, że Dr. Karliński astronom, a więc ateusz), te przerażające kwrawe procesy, którémi całe kolumny gazet są przepełniane, te najokropniejsze morderstwa, te tak częste w ostatnich czasach powtarzające się samobójstwa w Krakowie i okolicach, wszystko to przeraża i sprawia popłoch nielada. Złe Panie! mówi poważny obywatelstarego grodu. Złe Panie, to wszystko komuna robi, to ten International przeklęty, oj, da się on nam we znaki! W cukierni Majera, do której przeważnie politycy się schodzą—inaczej o tem sądzą. Nie komuna, ale Bismark wszystkie te psoty wyrabia, a rezultat tego wszystkiego, wiadomo—jeden—wojna, wojna straszliwa! Z kim wojna, kto kogo pokona, ha! któż to wiedzieć może. Dziś i najgłębsi politycy przeczuć i przepowiedzieć nie umieją. Dość, że interesa fatalne, niebezpieczeństwo grozi najwidoczniejsze,—wpadną, zrabują, kościoły poniszczą, Sukiennice obalą, bramę Floryjańską zrujnują, złupią wszystko...

Co do wypadków nadzwyczajnych, czyli tak zwanych kryminałów, rzeczywiście mnogość ich w tym czasie jest przerażającą. Niema prawie dnia żebyśmy nieczytali w dziennikach, że ten się powiesił, ten się zastrzelił, ów rzucił się do wody, ten tego zabił, lub skaleczył.

Przed kilku dniami młody człowiek Władysław Golachowski (24 lat), tu w Krakowie wszedł na galeryję przed mieszkanie państwa L. przy ulicy Mikołajewskiej, a spotkawszy się z 15 letnią przystojną i cnotliwą dziewczyną, służącą pp. S. którą już pierwej napastował oświadczeniami swej miłości, powiedział do niej, że ponieważ widzi jej obojętność dla siebie, przyszedł ją zabić. Dziewczyna struchlała i stanęła w osłupieniu. Wtem Golachowski wydobywa puginał i mówi, nie! ja bym niemógł patrzeć na krew twoją—a jednocześnie przykłada sztylet do piersi, opiera go o mur i wpycha w serce. Skonał w jednej chwili, bez jęku nawet.

A więc z miłości jeszcze ludzie się zabijają. Donioślejszy jeszcze dowód potęgi miłości mieliśmy tu niedawno przed oczyma. 74 letni starzec, góral, zakochał się w 34 letniej wdowie i oświadczył się o jej rękę. Ta odrzuciła. Zrozpaczony starzec wpada do jej mieszkania i zabija ukochaną. Przed kilku dniami stawał on właśnie przed sądem; niezapierał się niczego, a gdy go skazano na śmierć, nie apelował o ułaskawienie, które niezawodnieby nastąpiło ale powrócił do więzienia i w kilka godzin potem odebrał sobie życie.

Przedwczoraj wieczorem stolarz tutejszy Florkiewicz wstąpił do pana Mieczysława Bardeckiego, zarządcy łazienek Marsiewicza, ażeby odebrać należne mu pieniądze. Wynikła sprzeczka. Bardecki porywa rewolwer i strzela do Florkiewicza, ten jednakże szczęśliwie uszedł śmierci. Kula wryła się w futryny drzwi.

Niepodobna nam wyliczać dość liczne podobne wypadki. Ale niemożemy niepodać króciótkiej treści choć dwóch procesów kryminalnych, jakie się toczyły w Czerwcu i Lipcu przed kratkami sądowemi. Niejeden z bohaterów Londynu i Paryża przed nimi blednąć muszą.

Pierwszeństwo należy 29-letniej, przystojnej, o pięknych włosach dziewczynie Katarzynie Unyszczuk, znanej policyi, pod kilkunastu innemi nazwiskami. Już w r. 1859, kiedy miała zaledwie lat 16 skazaną była na chłostę i więzienie; w r. 1862 na 5 lat więzienia ciężkiego; w r. 1869 na lat 10 więzienia z którego w r. 1870 uciekła ażeby dalej truć i mordować. Wkrótkim czasie popełniła kilkadziesiąt znaczniejszych przestępstw procesem udowodnionych. Zręczna, wymowna, wpadała jako przyjezdna zwykle do zamożniejszych rodzin w rozmaitych miastach, a zawsze z jakąś tajemnicą—np. że jest wysłaną przez hrabinę N., lub T. ażeby znaleść schronienie dla jej córki, którazgrzeszyła. Zawsze potrafiła zyskać zaufanie i zawsze jak o łaskę prosiła o pozwolenie poczęstowania rodziny swoją herbatą. Zgadzano się na to. Piją herbatę—i wnet wesoło się robi wszystkim. Gospodarz domu śmieje się, żona jego śmieje się, dzieci i domownicy śmieją się także, — słowem wszyscy niewiedzieć czego się śmieją, oprócz jednej Katarzyny. Śmiech wzmaga się stopniowo, przechodzi później w szał wściekły, niepowstrzymany. Rzucają się na ściany, tłuką meble, oczy wyłażą im na wierzch, naczynia mózgowe kursują szalenie, w głowie szum i zamęt, a w tem ból srogi, okropne jęki rozlegają się w mieszkaniu, wszyscy tracą przytomność...

Katarzyna zabiera co jest lepszego, z nadzwyczajną szybkością przelatuje w inną stronę i tam powtarza takąż samą scenę. A wszędzie, gdzie tylko stąpiła ta okropna kobieta, siała truciznę i nieszczęście. Kilka osób umarło, inni ciężko przechorowali. Opajała ona w herbacie odwarem *lulku* lub *bielunu*.

Złapano ją nareszcie w Krakowie właśnie w chwili, kiedy się wybierała do Warszawy.

Sąd skazał ją na śmierć. Do końca dowodziła, że niewinna.

W Czerniowcach, I. A. Weych zamordował Knauera, z którym razem pracowali. Po zabiciu w nocy chciał dom zapalić, ażeby zniszczyć ślady przestępstwa, miał już przygotowane materyjały palne, ale posłał służącego po słomę, ten czegoś się domyślił i doniósł.

Przed zabójstwem jak sam zeznał, kochał się w pani Popeskul, mężatce ale ta jakoby przeniosła nad niego Knauera.

Weycha skazano na śmierć.

K. G.

SZKOŁY i WYCHOWANIE W DAWNEJ POLSCE

Przegląd historyczny od najdawniejszych czasów.

napisał

Alfred Szczepański.

Chcąc zrobić podział w materyjale, który mamy rozpatrzeć—musimy z natury rzeczy zwrócić uwagę na pewne wytyczne, stanowcze i graniczne fakta. Jako takie występują w ciągu dziejów naszych: założenie akademii krakowskiéj, ogarnięcie edukacyi przez zakon Jezuitów, reforma Konarskiego, Komissyja edukacyjna. Te główne fakta rozdzielają organicznie rzecz co do szkół na dwa główne okresy i pojedyncze w nich epoki.

OKRES PIERWSZY, DO ROKU 1773.

EPOKA I.

OD POCZĄTKU DO ROKU 1364,

t. j. do założenia akademii krakowskiéj.

Ogólny charakter, zasady i pierwsze szkoły.

Dopiero w X wieku wraz z chrześcijaństwem pojawiają się w Polsce i szkoły. Aż do końca jednak XIV wieku *państwo*, *rząd*, zupełnie wychowaniem się nie zajmuje i nie ma też nad niem żadnej władzy. Królowie i książęta dynastyi Piastowskiej, zajęci są wyłącznie sprawami politycznemi, upewnianiem granic państwa, wewnętrznem jego urządzeniem. Epoka ta wojenno-polityczna nie zostawia żadnemu rządowi czasu do podjęcia sprawy oświaty i wychowania publicznego. Naczelnem ich staraniem musiało być *utworzenie* najpierw państwa. W tej epoce są więc powody do wytłomaczenia niedbałości rządów chwiejnych i zmieniających się, tem bardziej, gdy w epoce podziałów (po Bolesławie Krzywoustym) zatraca się idea państwa, i nie ma centralnego rządu, na któryby odpowiedzialność spaść mogła.

Pod względem oświaty i wychowania zostawiona jest zatem *nomine contradicente*, zupełna *wolność* prywatnym staraniom, a mianowicie duchowieństwu i magistratom miejskim. W ogóle z wolności tej korzysta tylko duchowieństwo, staje się to tradycyją, a następnie wyradza się w przywilej.

Gdy zaś tak duchowieństwo, jak i przez długie czasy ludność miast, sprowadzaną była z zagranicy, z Niemiec, wprowadzając z sobą kanoniczne i niemieckie prawo, wynika stąd, że lubo w tej epoce można już mówić o szkołach, nie można jednak jeszcze wcale mówić, o wychowaniu *narodowem*. Niemożność lub niebaczność rządów pociąga już od pierwszych początków zgubne za sobą dla państwa skutki. Szkoły bowiem powstające są przeważnie nianarodowe: albo *łacińskie*, wyłącznie duchowne, albo *niemieckie*, a wszystkich głównym celem jest przysposabianie duchownych, którzy mają pastorałem nad państwem zawładnąć. Szkoły podają też tylko pewne, do tych celów potrzebne, wiadomości. Niezaprzeczonem jest, że duchowni byli pierwszymi cywilizatorami Polski, tak jak w całej nowej Europie; lecz szkoda, że w Polsce zbyt długo pozostali wyłącznymi, jedynymi jej profesorami, jak również, że oni byli i ostatnimi, stojąc przy zbutwiałej rutynie swojej, podczas gdy w około cały świat się zmieniał i dojrzewał. Jako największy zaś zarzut ciąży na duchowieństwie zupełne zaniedbanie oświaty ludu, bezpośrednio jego opiece powierzonego.

Dat pewnych z epoki tej nie mamy, o bliższem zaś urządzeniu szkół tyle tylko powie-

dzieć można, że duchowieństwo urządzało je w wiekach średnich wszędzie na jednę modę. Nauka jest *bezpłatną*.

ROZPATRZENIE SZCZEGÓŁOWE.

Szkoły średnie. *)

Benedyktyni posiadający liczne klasztory (w Sieciechowie, na Łysej górze), mieli przy niektórych i szkoły. Pewnem jest, że w r. 1044 opat Aron w Tyńcu pierwszy tam szkołę założył. Kanonicy regularni otwierali szkoły t. z. *katedralne* n. p. w Trzemesznie. Szkoły takie były już od XI wieku w Gnieźnie, w Smogorzewie... na Rusi miała być w Nowogrodzie, w Smoleńsku szkoła greckiego i łacińskiego języka. Za Kazimierza Wielkiego już ich tam nie zastajemy.

Szkoły te podzielone były na *trivium*, w którem uczono gramatyki, retoryki (?), dyjalektyki—i na *quadrivium*, w którem uczono arytmetyki t. j. tabliczkę Pytagorasa, 4 działania (arabskie liczby zaprowadzono u nas zamiast rzymskich dopiero w XIV wieku) astronomii, raczej astrologii (mamy też kalendarze na lat 200 przed wynalezieniem druku), muzyki, to jest śpiewu kościelnego. Wykład odbywał się po *łacinie*, tłómaczono niektórych klassyków na polskie.

Osobno urządzano *szkoły zakonne*. Te oprócz powyższego podziału dzieliły się jeszcze na wewnętrzne (interiores) w klasztorze dla przyszłych zakonników i zawnętrzne (exteriores) w domu obok klasztoru dla przychodniej młodzieży. Prócz wymienionych przedmiotów uczono tam jeszcze mieszaniny z teologii i filozofii scholastycznej.

Były to naówczas szkoły średnie i wyższe, które miały za cel kształcenie duchownych, służyły wyłącznie chwilowym widokom kościoła katolickiego, nie zaś ogólnej oświacie. W nich to wychowywali się, według prawa kanonicznego, w zasadach władzy kościoła nad całym światem, owi duchowni możnowładzcy wiodący rej w epoce podziałów i zatargi z władzą świecką Piastowiczów. Obok nich właściwe warunki stwarzają możnowładców świeckich — a narodzin tych przyszłego ustroju państwa należy szukać nietylko w politycznych i społecznych warunkach, ale niemniej i tutaj w dziejach i charakterze wychowania.

Szkoły początkowe i niższe.

Przejście poniekąd do tamtych szkół (gdyż o organicznym związku szkół nikt nie myślał) stanowiły szkoły *farne*, *parochijalne* i *miejskie*. Pojawiły się one w XIII wieku z rozrastaniem się osad, które po miastach prawem magdeburskiem się rządziły, albo przy kościołach. Fulko, arcybiskp gnieźnieński, zaleca w r. 1237 wszystkim plebanom utrzymywanie szkół pariochijalnych, nakazuje oraz nauczycielom osobnym statutem *znajomość języka polskiego*, która zatem między nimi nie była rozpowszechnioną, gdy nakazywaną być musiała. Szkoły takie były w Poznaniu, w Toruniu, Krakowie, Lublinie, Sandomierzu, Kaliszu, Kościanie, Wschowie, Gdańsku, Sieradzu, Łowiczu, Łęczycy, Warszawie.

Nauczycieli było zwykle dwóch: scholastyk albo magister i teolog. W szkołach farnych i miejskich po miastach na prawie polskiem osiadłych, osadza ich kapituła, lub pleban. Na utrzymanie wyznaczono im pewne dochody *kościelne;* nauka była bezpłatna. W miejskich, po miastach na prawie magdeburskiem osadzał ich niemiecki magistrat. Na utrzymanie pobierali *suchodniówki* (pensyje co kwartał w suche dni), czasém miewali mieszkanie, żaki opłacali pewne szkolne. Uczono w tych szkołach języków: niemieckiego, polskiego, katechizmu, modlitw, pisma świętego, ojców kościoła, śpiewu, liturgii, pisać (mnóstwo rękopismów i brewiarzy ozdobnych świadczy o kwitnięciu tego kunsztu), czytać, cokolwiek rachunków, gramatyki łacińskiej, (szczególniej z Donata, który obok Alvara do końca XVIII wieku przetrwał. *Łaźnia* należała do porządku przepisanego we wszystkich szkołach. *Językiem wykładowym był niemiecki*, w niektórych polski. Niemieckiego języka wymagała praktyka prawa magdeburskiego, aż dopiero Kazimierz W. zniósł apelacyję do Magdeburga, zaprowadzając najwyższe trybunały w kraju.

Bywały też często spory o język wykładowy; biskupi i synody zalecają często plebanom, ażeby szkoły tylko biegłym w języku polskim powierzali.

Wspomniana już nieopatrzność państwa w tej mierze powtarza się i później. Zaniedbanie koniecznego asymilowania obcej ludności miast z narodem, była to jedna z przyczyn wytwarzania się odrębnych stanów w narodzie, nieczujących wzajemnej narodowej solidarności, ani solidarności z interesami państwa. Złe to im dalej, coraz więcej się rozwija, dgdyż wszystkie sprzyjają mu warunki, tak jak warunki wychowania. Ludność niemiecka miast, zostawiona samej sobie, przez długie wieki czuje się osobną i obcą całością, którą obchodzą li własne jej interesa.

Słyszymy wprawdzie, że Leszek Czarny (Niemiec z wyobrażeń i zwyczajów) usiłował oprzeć władzę swoją na niemieckiéj ludności. Kraków *niemiecki* broni go przeciw szlachcie... za bunt niemieckiego mieszczaństwa z wójtem Albertusem na czele, przeciw Władysławowi Łokietkowi utracił był Kraków, prawo wyboru rajców i t. p. Fakta podobne świadczą jednak tylko że ludność niemiecka doszedłszy do zamożności przez handel i stanowiąc pewną potęgę, wprowadza ją i w polityczną grę, lecz wyłącznie w celu *stanowym*, w celu uzyskiwania przywilejów, broniących jej odrębności od państwa. Zaniedbanie więc polszczenia miast, co skutecznie a bez gwałtu tylko przez szkoły mogło być dokonywaném, a leżało w koniecznym interesie państwa— zaniedbanie to, stając się powodem odosobnienia ich od narodu i politycznego życia, ułatwia przez to wybujanie wyłączności z łona rycerskiego, ustawodawcze odsunięcie nawet miast od równości praw (gdy pierwotne osobne prawa potraciły, a zarazem naturalnie i od wszelkiego niemal udziału w prawodawstwie. Odsunięcie to od głównych prądów publicznego życia, brak swobody, oddziaływa z kolei na upadek dobrobytu i oświaty niegdyś ludnych i zamożnych miast. Tem się tłomaczy dalej owa dziwna w ciągu całéj naszéj historyi obojętność ludności miast, na własne upośledzenie w państwie, oraz obojętność na losy państwa. Niepodobnem było powstanie i wyrobienie się mieszczaństwa, stanu trzeciego. Tutaj, w dziejach wychowania odnajdujemy klucze oprócz do wielu innych i do tego zagadnienia. W téj pierwszéj epoce w nieszczęsnéj nieopatrzności co do narodowego charakteru oświaty i wychowania, widzimy jedno z źródeł przyszłych śmiertelnych chorób państwa.

Wszystkie te niższe szkoły noszą w ogóle także charakter przeważnie duchowny. Uczęszczała do nich młodzież tylko miejska i szlachecka.

Nie wystarczały one jednak na potrzeby wzrastającego państwa, a wszczególności na potrzeby wzrastającego w znaczenie możnowładztwa i stanu szlacheckiego, które patrzyły łakomie na prawa feudalnych panów zachodniéj Europy—nie poczuwając się do ich obowiązków względem państwa i panującego. Bogatsza więc młodzież, po ukończeniu szkół krajowych, wybierała się zwykle na nauki do akademii zagranicznych, do Padwy, Bononii. a w Paryżu, jak mówi Czacki, „Polacy osobny naród tworzyli.“ Téj to okoliczności zapewne należy przypisać, że mimo niedostatków i wad wychowania krajowego, szerzyła się oświata w warstwach wyższych także „już w XIV wieku miała Polska ludzi zdolnych nauczać z katedr zakładanego podówczas uniwersytetu w Krakowie.“ (Krzyżn.)

Co do szerzenia się oświaty charakterystycznemi są następne wiadomości: Kazimierz (zwany dawniéj mnichem) pierwszy z królów polskich umiał jako tako pisać, synowie Konrada mazowieckiego mieli domowych nauczycieli. Przemysław I czytywał psałterz. Za Kazimierza W. jaż wielu z zamożniejszéj szlachty umiało czytać, pisać i po łacinie.

O szkołach wiejskich, o *oświacie ludu*, nie ma w téj epoce ani śladu. Głucho tutaj o ludzie wiejskim, tak jak w historyi politycznéj, Zrywa on się kilka razy, ale nie do nowego świata, nie do nowego porządku rzeczy, ale do dawnego przedchrześcijańskiego stanu wolnych kmieci, właścicieli ziemi, obywateli. Od nowéj oświaty jeszcze lud nie jest wykluczony, tak jak też nowy porządek nie od razu, ale zwolna pozbawiał go jego obywatelskich praw. Synowie kmiecy mogli jeszcze chodzić do szkół *miejskich* — gdyby byli posiadali początkowe *wiejskie*. Ale o tem nie pomyślało duchowieństwo — a stanowi rycerskiemu, dążącemu do przywłaszczenia sobie wyłącznie państwa, ziemi i prawa, dobrze było z tem, że lud pozostał w sławiańskiéj, pierwotnéj niewiadomości, na któréj można było budować dla niego społeczne i polityczne jarzmo. W następnéj epoce i ta rzecz dojrzewa.

O wychowaniu dziewcząt również niema jeszcze śladu — prócz luźnych wiadomości o edukacyi kilku kobiet.

Na utrzymanie ubogiéj młodzieży zdarzają się już fundacyje przy klasztorach. (*D. c n.*)

*) Do podziału rzeczy mających swoje właściwe nazwy używam terminów dzisiejszych.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Ufność bez granic, przysłowie dramatyczne w jednym akcie, przez *Leona Kaplińskiego*. Kraków. str. 24

Treścią tego przysłowia jest rozmowa dwojga arystokratycznych osób: męża i żony. Ta ostatnia pragnie udać się na bal w towarzystwie męża, który znudzony wszystkiemi balami i zabawami stara się od tego ciężkiego obowiązku uwolnić twierdząc, że ufa jej bez granic, że może sobie chodzić gdzie się jej podoba a on żadnej do niej rościć nie będzie pretensyi. Całe jednakże jego rozumowanie upada przed bardzo drobnym na pozór fakcikiem, kiedy ujrzał klęczącego Rodryga przed duszą swej duszy. Nie było w tym wypadku nic zatrważającego i Rodryg został należycie skarcony przez żonę za śmiałość oświadczenia swych uczuć w sposób tak jawny; mąż przekonał się, że żona jest najświętszą, najprzykładniejszą istotą na ziemi; ale zarazem musiał przynać, że ufność bez granic jest próżnem słów dźwiękiem, że lepiej kochać zazdrośnie, niż ufać bez miłości. Całość wychodzi bardzo zgrabnie; ale bez najmniejszego ożywienia, bez najmniejszego nawet dowcipu.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

Patrz Dodatek.